№ 10. Warszawa, dnia 26 Lutego (10 Marca) 1877 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Kwestye i Sprawy.

(Dokończenie).

2) Z poprzedzającego wynika, że błędnym byłby przeciwko naszym wywodom ten zarzut, iż owo wyższe uzdolnienie duchowe i umysłowe człowieka jest tylko wynagrodzeniem natury za pokrzywdzenie człowieka w przymiotach cielesnych, dla tych samych celów, które mają zwierzęta. Możnaby, co najwyżej, przypuścić chyba, że walka o byt materyalny, dążąca do zabezpieczenia życia własnego i potomstwa, istnieje tylko pomiędzy człowiekiem a martwą naturą i zwierzętami, ale nie pomiędzy ludźmi. Przemawiają za tem dalej jeszcze trzy następne okoliczności. Po pierwsze, wszyscy ludzie są z natury jednakowo bezbronni i słabi, a choć bywają pomiędzy nimi słabsi i silniejsi, to jednak różnica nigdy nie bywa tak znaczna, jak pomiędzy ludźmi i silniejszemi od niego zwierzętami. Przeciwko przewadze liczby z jednej strony można łatwo postawić takąż przewagę z drugiej strony. Jeżeli więc rzeczą jest słuszną i zrozumiałą, że w obec strasznych lwów, niedźwiedzi, bawołów i t. d. bezbronny i słaby człowiek zmuszony jest używać, jako broni, przewagi swej duchowej, ażeby byt swój zabezpieczyć, to względem ludzi ludzie nie mają tego czynić potrzeby, a choć historya i fakta codzienne świadczą czasem o panowaniu przemocy między ludźmi — zaprzeczać temu nie myślimy — wszelako walki o byt nie możemy uznać za zasadę, którą należałoby uświęcić. Co innego bowiem są nadużycia faktyczne, a co innego uświęcona zasada. Nie wszystko co bywa, tak być powinno, a choć właśnie wręcz przeciwną zasadę wyrzucano kiedyś Heglowi („wszystko co jest, jest rozumne“), wznowili ją obecnie nieprzyjaciele filozofii — pozytywiści, hołdując zbytecznie „faktom spełnionym“ czyli, co na jedno wychodzi, przemocy. Sumienie ludzkości wstydziło się jednak zawsze czynów gwałtu i przemocy, pozorując wypadki „walki o byt“ słusznością obrony, interesami wyższymi i t. d. Dopiero dziś cynicznie zaczęto uznawać, że „człowiek człowiekowi jest wilkiem“ i zdanie to, z goryczą wypowiedziane przez Hobbesa, myśliciela XVII wieku, jako zarzut i obelgę, rzuconą w twarz ludziom przewrotnym, usiłują dziś podnieść do wysokości powszechnej i rozumnej zasady, opierając się na celach życia zwierzęcego. Po drugie, tylko zwierzę nie dba o przeszłość i przyszłość i żyje jedynie chwilą obecną, człowiek zaś związany jest z tem co było tysiącznemi węzłami, a z przyszłością — głównie swem potomstwem. Gdyby więc walka o byt pomiędzy ludźmi miała być zasadą stałą, a zatem owa walka wieczną — gdyż trudnoby było naznaczyć jej koniec, chyba z wytępieniem się ludzi wzajemnem, do którego wzdycha najnowszy filozof niemiecki Hartmann — w takim razie każdy mógłby spodziewać się, że zwalczeni dziś przez niego lub ich dzieci zwalczą następnie jego własne dzieci i t. d. tak że gdyby, zasada walki o byt weszła do prawodawstwa, co powinnoby nastąpić, gdyby ta zasada była prawdziwą, ale na szczęście ludzkości jest niemożliwem — wtedy upadłaby potrzeba wychowywania dzieci i zabezpieczania im bytu, stałoby się niemożliwem dziedziczenie po rodzicach owoców ich pracy i przyszłość następnego pokolenia przedstawiłaby się w najciemniejszych barwach. Sumienie ludzkości, uczucia rodzinne i rodzicielskie wzdrygają się na myśl o tej ruinie, śród której nie byłoby nic pewnego i odpychają ją ze wstrętem: uczucie rodzicielskie pragnie dla dzieci spokoju, szczęścia, niezamąconego używania dziedzictwa i owoców pracy i tego pragnienia, które każdy, ile możności, uskutecznić usiłuje, nie wydrze nikt z duszy tych nawet, którzy sami usiłują głosić, że człowiek jest tylko zwierzęciem i niczem więcej. Po trzecie człowiek, jak mówi Arystoteles, jest zwierzęciem towarzyskiem, przeznaczonem z natury do życia nie samotnego, lecz towarzyskiego i społecznego. Samo już pojęcie i istota społeczeństwa wymagają porządku, a więc harmonii i zgodności, nie zaś ciągłej walki członków społeczeństwa pomiędzy sobą. Gdyby owa walka o byt materyalny była zasadą słuszną, naówczas wszelkie zbrodnie dla własnej korzyści byłyby uprawnione, nawet np. ludożerstwo byłoby rzeczą godziwą i zaprawdę ludzie spadliby niżej dzikich zwierząt, społeczeństwo byłoby niemożliwem i wkrótce nastąpiłby pożądany przez Hartmanna koniec. Dogmat walki o byt niweczy więc społeczeństwo, tak samo jak niweczy rodzinę. Społeczeństwo ludzkie, choćby najwadliwsze, ograniczało zawsze pewnem prawodawstwem walkę swych członków pomiędzy sobą, niweczyło nawet ową walkę o byt, będącą wypływem natury zwierzęcej i połączonej z egoizmem i przemocą, żądając ustępstw na korzyść ogółu i kierującej społeczeństwem władzy. Czyżby wszystkie społeczeństwa i wszystkie prawodawstwa były błędne i zaślepione? Dla czego wszystkie bez wyjątku zabraniają zabójstwa, rozboju, kradzieży i innych występków ludzi przeciwko ludziom, jeżeli pomiędzy nimi powinna zawsze panować walka o byt? Społeczeństwo ma inne zadania i cele, do których dążą jego członkowie, nie zaś walkę o byt materyalny. Jakie są te cele — przypominać nie potrzebujemy. Po wszystkie czasy ludzie pełnili obrzędy religijne, zadawalniali uczucie piękna, wyrabiając obrazy, posągi, wznosząc gmachy i t. p., doskonalili swoje domy i miasta, uprawiali rolę, badali ciała niebieskie, rozmyślali o wszystkiem, co na ziemi i ponad ziemią, dobijali się szczęścia, spokoju, doskonałości, mądrości i sławy i to nietylko w celu zachowania życia, ale dla urzeczywistnienia tkwiących w duszy ideałów, dla podtrzymania sławy przodków i przekazania dobrej o sobie pamięci wraz z owocami swej pracy swoim potomkom. Te były i są zawsze cele życia ludzkie-

go, a główną ich cechą i treścią była i jest zawsze *praca* w najobszerniejszem tego wyrazu znaczeniu. Praca, regulowana, co do zakresu i środków, zasadami moralnemi i zabezpieczona prawem, jest treścią życia ludzkiego i narzędziem prawdziwie ludzkiej walki o byt. Zabezpiecza ona nietylko wygody życia zwierzęcego, ale także udział w dobrach i rozkoszach umysłowych i duchowych, podtrzymuje zdrowie, związki społeczne i rodzinne, wiąże tradycyą przeszłości z pamięcią i dobrą sławą, z pożytkiem i błogosławieństwem potomności. Gdzie pracują wszystkie jednostki, składające społeczeństwo, tam walka o byt staje się szlachetnem i płodnem w owoce współzawodnictwem, a zamiast drapieżnego egoizmu utrwala się powszechna łączność i wspieranie się wzajemne w celu podniesienia i uzacnienia tak pojedynczych jednostek, jak społeczeństw, narodów i całej ludzkości.

Kwestya pracy ludzkiej, w ogóle i w szczegółach wymagałaby osobnego obszerniejszego traktowania odkładając więc ją na później, ażeby zbytecznie od przedmiotu swego nie zbaczać, zobaczmy jeszcze, czy życie pojmowane w znaczeniu istnienia fizycznego, jest dla człowieka najwyższem dobrem, to jest rzeczą najdroższą, czy też nie. Dla zwierząt niewątpliwie życie czysto zwierzęce — gdyż innego nie znają — jest dobrem najwyższem: nie masz nic takiego, coby zwierzę mogło przekładać nad życie, w obec czego zdolne byłoby dobrowolnie śmierć ponieść. Jeżeli np. samica ptaka mężnie broni swoich piskląt i naraża przy tem własne życie, nie czyni tego bynajmniej przez bohaterstwo ofiarne—dla sławy i pamięci u innych ptaków i u własnych dzieci, że położyła życie w ich obronie (gdyż nic podobnego między ptakami istnieć nie może), ale jedynie wskutek instynktu obrony fizycznej, a więc popędu do skutecznego oparcia się, zwalczenia lub odpędzenia nieprzyjaciela. Ma ona, jeśli wolno tak się wyrazić, nadzieję że skutecznie oprze się nieprzyjacielowi, nie będąc zdolną do zastanowienia się nad własną słabością i przemocą wroga: wszak często drobne jaskółki lub wróble hałaśliwie gonią jastrzębia i czasem udaje się im go odpędzić. Jeżeli Temistokles przed bitwą Salamińską, dla zawstydzenia Greków, przytaczał im przykład dwóch walczących kogutów, które poświęcają wrzekomo życie dla sławy zwycięztwa, był w błędzie, gdyż kogut walczy nie dla sławy, która między kogutami nie istnieje, ale jedynie w zapędzie okrucieństwa i w obronie swego życia, bo jeśli nie zwalczy przeciwnika, to ten jego zwalczy i zabije. „Każde stworzenie usiłuje zachować swoje życie" mawiali starożytni i człowiek również, o ile ma w sobie natury zwierzęcej, posiada także ten instynkt zachowawczy. Wszelako — i to jest wielka i ważna różnica, raz jeszcze świadcząca, że człowiek jest czemś wyższem nad zwierzęta — ludzie zdolni są wznieść się wyżej ponad instynkt zachowawczy i chętnie dobrowolnie niosą życie w ofierze wtedy, gdy nietylko dla nich, jako ginących, ale nawet dla potomstwa lub przyjaciół niepodobna przewidzieć z ich śmierci żadnej *dotykalnej, fizycznej* korzyści. Potrzebaż tu przypominać liczne zastępy męczenników i bohaterów ludzkości, którzy chętnie i dobrowolnie śmierć ponieśli dla idei, dla prawdy i słuszności, i przytem nietylko w uniesieniu zapału, gdy zapatrzywszy się w jasne słońce nadziemskich ideałów, stracili z oczu nędzne życie ziemskie—chociaż i możliwość tego uniesienia jest cechą człowieczeństwa — ale także i dla tego, że nie chcieli żyć życiem zwierzęcem, pozbawieni tych duchowych rozkoszy i tego dobra, które im odjęto. Obrońcy wyłącznie zwierzęcej natury ludzkiej uważają podobne bohaterstwo za obłęd, a bohaterów za waryatów, ale co do nas, nie trzymamy jeszcze tak źle o człowieczeństwie samych tych mędrków, ażebyśmy nie przypuszczali, a nawet nie wierzyli mocno, że i oni sami, wbrew swoim mędrkowaniom, w pewnych wypadkach poświęciliby swoje życie.

Ostatnie te wywody doprowadzają już nas do kresu niniejszej pogadanki. Usiłowaliśmy o ile to w krótkości uczynić się dało, wykazać różnicę życia ludzkiego od zwierzęcego, ze względu na ich treść i cele, następnie wyświetlić kwestyą tak zwanej walki o byt, gwoli modzie u wszystkich będącej na ustach, i nakoniec zastanowić się nad tem, jakie życie jest dla człowieka drogiem i pożądanem. Ostatecznie usprawiedliwiliśmy określenie życia ludzkiego, podane na początku artykułu, i widzimy teraz jasno, że gdyby życie ludzkie niczem nie różniło się od zwierzęcego, to jest zależało tylko na zaspokojeniu potrzeb cielesnych, to w takim razie nie byłoby potrzeby mówić o zachowaniu życia i o środkach jego przedłużenia: Opatrzność sama uczyniłaby to wszystko, podobnie jak czyni dla wszelkich powietrznych, lądowych i wodnych stworzeń. Człowiek miałby tak samo ściśle z natury określoną ciasną sferę i stałe naturalne normy. Ponieważ zaś tak nie jest, ponieważ naturalne normy życia dla człowieka ustalić się nie dadzą, ani nawet pomiędzy Hotentotami lub Papuasami, ponieważ człowiek sam może wpływać na przedłużenie i ukrócenie swego życia — co jest nową oznaką przewagi w nim pierwiastku wyższego — wypada mu więc zwrócić troskliwą uwagę na podtrzymanie i uzupełnienie dzieła natury, to jest na rozumne i dowolne korzystanie ze swobody, jaką ma względem samego siebie od Stwórcy pozostawioną. Życie ludzkie nie jest najwyższem dobrem dla człowieka, ale nie będąc czysto zwierzęcem, ma być poświęcone, oprócz zachowania ciała, pracy około udoskonalenia siebie i innych i godziwemu używaniu dóbr ziemskich i duchowych; jest więc rzeczą cenną, jako stan niezbędny do rozwinięcia działalności i pielęgnować je należy. O tem pielęgnowaniu i zachowaniu życia powiemy w następnym artykule.

CÓRKA ROLANDA

Dramat w czterech aktach

PRZEZ

Henryka Bornier

przekład Konstantego Goniewskiego.

(Dalszy ciąg).

AKT TRZECI.

Wielka sala w pałacu cesarskim w Agwisgranie, w głębi wschody wiodące na zewnątrz i na zielony dziedziniec. Na lewo szerokie okno w murze, przez które widać wieżyce zamku i szranki — na drugim planie w tejże stronie widać mury katedry. Na prawo wzniesiony tron Karola Wielkiego. Przy podniesieniu zasłony, młódź rycerska, trzymając miecze w spoczynku, słucha opowiadania Ryszarda.

SCENA I.

Geoffroy, Ragenhardt, Ryszard, Hardré, grono młodzieży rycerskiej.

Ryszard.

(zwracając mowę do Geoffroy'a i Hardré'go).

Dość gawędy młodzieńcy — i tak się gadało
Więcej niźli na mistrza fechtunku przystało.
Rychło się Saraceńczyk zjawi między nami
On się nie da bynajmniej pokonać słowami.

(Geoffroy i Hardré udają się na miejsce spoczynku, na lewo).

Ragenhardt.

(do Ryszarda, którego zatrzymuje).

Wybacz — lecz mię zajmuje wielce twoja mowa,
Twe serce dla Rolanda tkliwą czułość chowa?

Ryszard.

Byłem paziem a potem koniuszym u niego.

Ragenhardt.

(na stronie).

Ach ten objaśnić może... tak... zbadam starego.

(głośno).

Piękna ta śmierć Rolanda, wzruszeniem przejmuje,
Radbym znać, co twa pamięć o niej przechowuje,
Byłże Roland pomszczony?

Ryszard.

Tak... zamało może!

Ragenhardt.

Ganelon ukarany?

Ryszard.

Nie dość! Wielki Boże!

Ragenhardt.

Byłżeś tam?

Ryszard.

Bezwątpienia!... Dziś jeszcze żal budzi...

Ragenhardt.

Żal?... a czego?...

Ryszard.

Saksonie... wie tu każdy z ludzi.
Po cesarskim wyroku — z życia wyczerpany
Ganelon — do końskiego grzbietu przywiązany
Był pognany na lasy. Potępieńca ciało,
Nimby duszę szatanom na wieki oddało,
Wilki, kruki i lisy na żer szarpać miały.
Biegłem widzieć tę ucztę! Ślad mi wskazywały
Wydarte z ciała cząstki. W tem, po nad potokiem
Widzę konia samego. Kiedy w koło okiem
Rozglądam się — spostrzegam mnichów niedaleko
Jak dążą do klasztoru. Podchodzę... aż wleką
Bez duszy, poranione cielsko Ganelona.
Tak zemsta najpiękniejsza, została chybiona,
Żal mi wilków i kruków!..

Ragenhardt.

Powiadają przecie
Że Ganelon przeklęty, miał zostawić dziecię?

Ryszard.

Tak... syna... ale tego, ukryto bez śladu.
„Wytęp nasienie zdrady i spal jaja gadu."
Mówią. Gdzie? jak?... przez kogo?... to mi niewiadomo.

(oddala się w stronę Geoffroy'a i Hardré'go i śledzi ich obroty szermierskie).

Ragenhardt.

(n. s. na przodzie sceny).

Mnie dziś lepiej jak tobie, cała rzecz znajomą,
To dosyć. Prawda oczom zwolna się odsłania,
Wzrok Amaurego rzucił pierwszą myśl zbadania,
Druga wskazówka tutaj. Ganelon swe życie
Winien mnichom... to Radbert... to jasne. Ukrycie
Pod maską Amaurego, prawdziwego miana
Wszystko to zręczność księdza. I ta gdzieś skrywana

Istność dziecka... to Gerald. Zmiana nazw nie zmyli.
Ale żąda dowodów. Czekajmy tej chwili.

(idzie połączyć się z młodzieżą, rozmawiającą na prawo).

Ryszard.

(do fechtujących się Geoffroy'a i Hardré'go).

Śmiało!... dalej panowie! Ręka podniesiona,
Ot tak! Mości Geoffroy, wasza jest skurczona
To źle!... odbić... a potem, krok zboczyć na stronę.

Geoffroy.

Wybacz panie koniuszy, lecz członki zmęczone.

Hardré.

Moje także...

(zbliża się do grona młodzieży z którą Ragenhardt rozmawia).

Ryszard.

Niestety! kiedy po nas tacy
O Rolandzie! mistrzu mój! zostali wojacy,
To i dobrze żeś umarł.

Hardré.

Tak przemawiać może
Kto paziem i koniuszym, był na jego dworze:
Lecz fechtunek grą twardą i siły zużywa,
Jam zmęczony... zmęczenie, któż grzechem nazywa?
Zresztą... do prac uczonych wzywają nas księgi.

(zbliża się do stołu założonego książkami).

Ryszard.

Odkąd wszystko się umie, nastał czas mitręgi!
Ja mówię, że rachunek, historya, magija,
A nawet astrologia, choć jej cesarz sprzyja,
Są sztuki niebezpieczne i na to się zdały
By serca od nich zmiękły, a ciała skarlały.
Dobrze czytasz, źle bijesz! w was dowód gotowy!
Na co tutaj przydatny, ów wasz rozum nowy?
Ot rycerz Saraceński, już miesiąc upływa
Jak was wszystkich na boje do szranek wyzywa
Po to — by zwalczonymi słał tryumfu pole!
Wielka jest wiedza wasza!... lecz ja naszą wolę!

Geoffroy.

Spór próżny o różnicę, jaka w gustach leży,
Ryszardzie przeszły czasy dla błędnych rycerzy!
Ot masz dowód najlepszy, w tym umilkłym dzwonie
Przy bramie pałacowej wiszącym na stronie
I błyszczącym na słońcu...

Ryszard.

To dzwon srebrny!

Geoffroy.

W onym
Czasie, za którym płaczesz — oddawna minionym,
Rycerz, o jakim wiecznie twa mowa powtarza,
Jeśli w nowym a chrobrym odznaczał się czynie
Pewny, że go za trudy nagroda nie minie,
Uderzał w dzwon — a potem wygłaszał życzenia
Jakiej łaski pożąda z pańskiego ramienia,
Wszakże łatwo to pojąć że był karan srodze,
Kto łaski bez zasługi szukał na tej drodze.
Tak więc od lat dziesięciu, widzisz bez ruszenia
Ów dzwon Ryszardzie.

Ryszard.

Wam to, mam do zarzucenia!

Geoffroy.

Uspokój się Ryszardzie... ot tu książkę mamy,
De civitate Dei... pozwól... poczytamy.
Z niej wielki Alkwin w szkole, światło w uczniach [szerzy
Karol Wielki go lubi.

Ryszard.

Ach płocha młodzieży!
Co dziś żyją — ci długo będą jeszcze żywi,
Więcej kocham umarłych. Czytajcie leniwi.

Geoffroy.

(zasiadając do czytania).

Jak się wszyscy wyuczą — wiesz stary mentorze
Wszystko pójdzie nam lepiej!

Ryszard.

I fechtunek?

Geoffroy.

Może!

Ryszard.

Spieszcie się więc z nauką... tak... przez łaskę nieba!
Staremu Ryszardowi, więcej nic nie trzeba.

Hardré.

(postępując na przód sceny z Ragenhardtem i inną młodzieżą).

Cóż Saracen? Saksonie...

Ragenhardt.

Ten się pewnie stawi!
Lecz ta walka Frankowie, wątpię, czy was zbawi.

Hardré.

Jakto? Czyżby nas wszystkich to ramię zwalczyło
Pogańskie Saracena?... toćby strasznem było!

Ragenhardt.

Tak! Ale znam go z boju, jaki, roku nie ma,
Blizko Narbony stawał sam przeciw czterema.
To okropnie! Zdało się... w nagłem uderzeniu
Że się jest pogrążonym w błyskawic płomieniu!
W pewnych chwilach rozmysłu, gdy ciosu probuje
Zda się, że z rąk zaklętych sam miecz wyskakuje.
To już jego wyłączność. Żal mi was!

Hardré.

(na stronie).

Ten ludzi
W sposób bardzo niezwykły, do odwagi budzi.

Ragenhardt.

Powiedzcie wszakże, bo mię głównie w Akwisgranie
Do zwiedzenia pałacu nęciło pytanie,
Jak on zdołał was wciągnąć w bój taki zuchwały?
I dawnoż?

Hardré.

Cudzoziemcze, toć już miesiąc cały,
Lecz Geoffroy dokładniej może o tem wiedzieć,
Bo sam to widział.

Geoffroy.

Tak jest.

Ragenhardt.

Chciej więc opowiedzieć.

Geoffroy.

(powstając od stołu, przy którym siedział).

Niestety! tak jest panie, przed trzydziestu dniami
Gdyśmy jak dziś kończyli wprawy z fechtunkami,
Saracen z licznym pocztem towarzyszów w zbroi,
Przed obecnym cesarzem stojąc u podwoi,
„Monarcho! rzekł — mnie, jeszcze dziecku się [dostała
W dniu owym pod Roncevaux, z pod Rolanda ciała
Broń jego—miecz Durandal. Oddam go—lecz temu
Kto zdolny mi go wydrzeć! dam pogromcy memu!“
Niestety! w strasznym boju, Bóg nas chłoszcze karą.
Od miesiąca, trzydziesty baron legł ofiarą
I wkrótce przyjdzie widzieć, jak miecz tyle drogi
Niewierna dłoń uniesie, po za ojców progi!
Przecież co dnia, w godzinę, na bój przeznaczoną
Z głową podjętą trudem, wiekiem pochyloną
Przybywa tu sam cesarz. Ztąd się widzieć daje
Jak poważny, spokojny, przy tem oknie staje,
Wzrokiem bacznym, wrogiemu losowi poddanym
Śledzi za swym rycerzem na zgubę oddanym.
Córka Rolanda, Berta, jedyna w tę porę
Towarzyszy królowi, niosąc mu podporę,
Gdy ten stojąc bez ruchu, odarty z nadziei,
Chce być świadkiem do końca nieszczęsnych turniei.
Schylony nad szrankami, gdy się grobem staną
Błogosławi ofiarę, w boju pokonaną.
Po czem powraca bledszym, więcej osłabionym.
Roland! Roland! powtarza, głosem przytłumionym.

Ragenhardt.

Pojmuję te katusze, co mu piersi palą.

Ryszard.

Cesarz nadchodzi, niechaj wszyscy się oddalą!

(wszyscy odchodzą. Karol Wielki wsparty na ramieniu Berty, zstępuje ze schodów w głębi).

SCENA II.

Karol Wielki i Berta.

Berta.

Panie drogi! ten widok serce twe zakrwawia,
Dziś się oszczędź!

Karol W.

Nie! Tutaj, powinność mię stawia.
Przed tym pałacem niegdyś, wrogi, ileż razy
Miotając na Chrystusa bluźniercze wyrazy,
Saraceńscy książęta, pany, emirowie
W obec dworu, wyzwania rzucali mi w słowie.
Ferragus, Belaut, Jonas — było innych wiele.
„Rycerze Francyi! wołam na orszak mój śmiele,
Tam niebo Mahometa swoich wiernych wzywa!
Sprawcie! niech mu przed nocą jeden z nich przy- [bywa!
Montjoye! z wszystkich piersi głos mi odrzekł [echem.“
I jeden z nich z weselem, spokojem, uśmiechem
Olivier albo Renaud — lub Roland zstępuje
W szranki, gdzie go Saracen czarny oczekuje.
Straszny bój! z ziemi wściekle poganin się zrywa
Rzuca z rykiem pantery — i czasami bywa
Że podstępem z nóg zwali mego zapaśnika.
Lecz rycerz wnet powstaje, dzielniej się potyka
I gdy wraca zwycięzcą, pod flagę wojenną
Czuję mą duszę, dumą królewską promienną!
Ach te dni mojej dumy, na zawsze stracone!
Sławę-m dzielił — znieść muszę — czoło ukorzone.
O Rolandzie! Rolandzie! wstyd bije do skroni
Widząc miecz twój Durandal! w poganina dłoni!

(siada w krześle na lewo).

Berta.

Panie! miejmy nadzieję.

Karol W.

Wszak niebo tak chciało
Gdy potęgę z rąk naszych w dłoń wrogów oddało.
Przyznajmy, że rycerzy braknie na mym dworze,
Ni jeden Saracena nie zwycięży...

Berta.

Może!

Karol W.

Któryż z nich?

Berta.

Gerald!

Karol W.

Gerald?... Córko moja—tobie
Tajno nawet, pod jakiem niebem jest w tej dobie.
Jego ojca wszelako wezwałem rozkazem
Aby tutaj się stawił, złożył hołd zarazem
Jako lennik z Montblois. To było nadzieją
Że nam losy Geralda widniej zajaśnieją.
Lecz nam hrabia Amaury nic nie odpowiada
Drugi miesiąc. Na przekor wszystko nam się składa.

Berta.

Ja więcej niż nadzieję, mam przeczucie panie,
Że dzisiaj przed wieczorem jeszcze Gerald stanie.

Karol W.

Tą nadzieją, ja długo Berto się poiłem.
Nieraz, w pustym dziedzińcu, gdy oko topiłem
Zdało się: bo nadzieja zawsze nas kołysze,
Że nagle dźwięki dzwonu przerywają ciszę
Głosząc powrót Geralda. Ach! nadzieja zwodzi!
Dzwon milczy i nikogo prócz mnie, nie obchodzi.

Berta.

Nie będzie długo milczał — wiem i oczekuję
Mściciela, który zdąża.

Karol W.

Jakże ten cechuje
Twoją córkę Rolandzie, dumny głos proroczy!
Tak jest — twoim to ogniem pałają jej oczy.
Bądź mi błogosławiona Berto! Dzięki tobie!
Zgasłej chwały — mam żywą pamięć w twej osobie!
Ty — co rozumiesz boleść i me niepokoje,
Której czoło jedynie, zraszają łzy moje,
Przed której sercem, rany me serce otwiera,
Która kochasz mię więcej, im srożej pożera
Mnie boleść! Oby Gerald powrócił, spraw Boże!
W tę szlachetną prawicę, niech twą rękę złożę,
Niechaj przed moją śmiercią, mężem twym zostanie.
Ale ta śmierć nie czeka...

Berta.

Ach! co mówisz panie!

Karol W.

Śmierć nie czeka, jej blizkość, wszystko przepo-
[wiada
Wieczorny to już powiew na me skronie pada.

Berta.

Panie! mój ojcze!

Karol W.

Dziecko! ty płaczesz? i o co?
Pomyśl głębiej i siły pokrzep ducha mocą,
Posłuchaj. Cóż w dni schyłku trapić może duszę?
Już nie duma, nie bojaźń, ani żądz katusze,
Lecz gorące pragnienie, przepełnione trwogą
Aby sądząc sam siebie, prawdy kroczyć drogą.
Człowiek ni król, za życia, żaden nie zaziera
Do głębi swej istoty. Śmierć oczy otwiera,
I ja sam, nie znam siebie. Przecież w każdej dobie
Pracowałem, walczyłem, ból nosiłem w sobie,
Tak—ja prawa nie niosłem wśród dzikie narody,
Jak tamy zarzucając, ujarzmia się wody.
Europę jam podbił i w ręku dzierżyłem,
Dla Chrystusa świat stary Rzymu przetworzyłem.
A wszakże po zbadaniu, nic — że nie zostaje
Z dzieł spełnionych, co dzisiaj, żal uczuć mi daje?
Te ludy, które w jeden zebrać należało,
Czylim nadto nie zmiażdżył, łącząc w jedno ciało?
To wszystko król dopiero widzi w skonu dobie,
Drzewo prawdy wyrasta, dopiero na grobie.

Berta.

Panie! wszakże świat wszystek, wszak Francya cała
Mieni cię sprawiedliwym, jak Wielkim nazwała.

Karol W.

Tak — pochlebstwo za życia królom towarzyszy,
Lecz jakież miano Karol od Boga usłyszy?
Wiedzieć to będę wkrótce. Zresztą mnie przeraża
Ta myśl — jak dzieła nasze, potomność przetwarza.
Niestety! każda wielkość, ledwie w górę wzleci
Już się chwieje. Gdzie szukać Merowingów dzieci?
Gdzie Klowisów? I twoje Karolu — co czeka?
Jakaż je — gdy cię zbraknie — podeprze opieka?
Gdy zmarłego ułożą, na wieczne posłanie,
Czy cesarstwo kolosem — czy marą się stanie?
I ród mój, czy choć jedno przeżyje stulecie?
Wiedzieć to będę wkrótce. Tak—wkrótce—w wszech-
[świecie
Kołysany snem śmierci, unosząc się z ziemi
Ujrzę przyszłość bezchmurną przed oczami memi.
Księgi wieków znajdując przed sobą otwarte,
Francyo! ujrzę twej sławy lub niedoli kartę!
Twej sławy! O niechajby w przyszłe wieki ona
Jako dąb się rozrosła w szerokie ramiona,
I otwarła przytułek i cieniem krzepiła,
Niechby matką narodów, plemion młodych była!
Jak tuszę — oby każdy mógł wyrzec niedługo:
„Dwie ojczyzny miłuję—swą—i Francyę drugą!

(słychać głos trąb na zewnątrz).

Berta.

Słuchajcie!

Karol W.

To poganin! zwycięzca nadchodzi.
Cudzoziemiec! O serce — bić ci się nie godzi.
Tak kończyć... przez z Hiszpanii Maura zwyciężony...
Ja Karol! niegdyś mianem Wielkiego szczycony...
Nie — ja nim już nie jestem. Schyl głowę w pokorze
Królu — gdy cię opuszcza zmiłowanie Boże!

(Karol W. siada zwolna na tronie, Saracen wchodzi i umieszcza się naprzeciw niego).

SCENA III.

Poprzedni, Noethold. Orszak Saracenów i panów Francuzkich.

Noethold.

Ja to — Noethold książę, co Walencyą władam
Baronom Francyi jeszcze raz bój wypowiadam.
Łuki, miecze i groty i szranki gotowe
Niech spieszy, kto pod miecz mój, pragnie oddać
[głowę!

Wszyscy rycerze Francyi.

Ja! ja!

Karol W.

Nie! wstrzymajcie się! wysiłek szaleństwem,
Gdy dni tyle, Bóg, walki nie wieńczy zwycięztwem.
Zanadto chrześciańskiej krwi waszej barony!
Ty niewierny — ty możesz wracać w twoje strony!

Noethold.

Dobrze więc: lecz dzień pomnę monarcho wspaniały,
Gdyś był więcej zazdrośny o promień twej chwały,
Wówczas była Hiszpania cała w twej dziedzinie,
Za nami Saragosa trzymała jedynie.
Mego króla Marsylla dziesięciu posłowie
Dogonili twój obóz przy samej Kordowie,
Gdzie w ogromnym ogrodzie, w wielkiej sosny cieniu,
Królu, tron twój złocisty jaśniał na wzniesieniu.
Roland, Olivier, Sancho, obok miejsca mieli,
Ty, spokojny i dumny, z twą brodą już w bieli
Z pół uśmiechem patrzałeś, jak poselskie grono,
Ku swym wrogom kroczyło z głową pochyloną,
Wtedy jeden z nich czoło korniej uniżając
Prosił ciebie o pokój, mnie w zakład oddając,
W odpowiedzi, raczyłeś dumne słowo rzucić.
Monarcho, czas potrafił twarz losu odwrócić
Odbiliśmy Hiszpanię — w obecnej godzinie
Niewierny tryumfuje, a z ócz twych łza płynie!
Oddalam się, jak rzekłeś, lecz z tryumfu chwałą
Gdy mu twoje przekleństwo wartości przydało.
Któż mi zarzucić może sławy przywłaszczanie?
Unoszę po Rolandzie, po twoim siostrzanie
Miecz Durandal. Żem dzielnie zdobył—przyznać ra-
[czysz,
Spojrz nań; bo go królu, więcej nie zobaczysz.

Karol W.

Wstrzymaj się! ja krwi braci szczędzić, miałem
[prawa
Ponieważ los za tobą przeciw nim obstawa.
Nie mam już lat sześćdziesiąt, siły me zwątlały,
Lecz ta reszta wystarczy na mój wiek zgrzybiały.
Ja sam do walki z tobą dobywam mej broni!
A jeśli Karol Wielki ma poledz z twej dłoni,
Poganinie! naszego żądny poniżenia,
Byś zbladł — starczy mojego przy skonie wejrzenia!
Spiesz więc!

Wszyscy.

Panie! przez litość!

Berta.

Ojcze! tą koleją
Śmierć niechybną chcesz znaleźć!

Karol W.

Nie! idę z nadzieją!
Wreszcie — przeżyć tę chwilę, to nadto rozpaczy!
Jeśli król sławę traci, niech umiera raczej!
Nieprzyjacielu Boga! wrogu mego tronu!
Spiesz się umrzeć lub zabić!

(słychać głos dzwonu zewnątrz).

Berta.

Głos srebrnego dzwonu!

(*d. c. n.*)

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

po Szwecyi i Norwegii.

przez **Alberta Vandal.**

(**Streszczone przez J. B.**)

(Ciąg dalszy).

W Norwegii, kobiety od lat najmłodszych nawykają do prac ciężkich i rolnych i dla tego często bywają równie silne jak mężczyźni. Uważałyby sobie za ujmę, udawać się do prawa o ukaranie niewierności i dla tego same wymierzają sprawiedliwość. Zabawa została przerwana przybyciem niespodziewanej tancerki; była to narzeczona jednego z obecnych młodzieńców. Uznała że narzeczony za nadto zajmuje się jedną z dziewcząt; poskoczyła tedy do niego, złapała za kołnierz, wygłosiła gorzkie wymówki i popierając słowa czynem, ciężko dała uczuć winowajcy całą potęgę swego gniewu, i kto wie na czemby się skończyło, gdyby nie wdanie się obecnych.

Rozstawszy się tu z kariolką, wsiedliśmy na sztemer wolno bardzo posuwający się po spokojnych wodach fiordów. Nad wybrzeżami roztaczają się bo

gate folwarki, przed każdym z nich statek zatrzymuje się na krótki przystanek. Roje dzieci, chłopców, zaledwie odzianych i dziewcząt odznaczających się pięknemi rysami i śliczną cerą, zleciało się do przystani i widocznie oczekują czegoś z niecierpliwością. Jeden tylko z pasażerów wysiadł na ląd; był to mężczyzna poważnej powierzchowności; pod pachą trzymał dużą książkę i składane krzesło. Dzieci otoczyły go dokoła: usiadł w pośrodku, otworzy książkę i zwracając się do dzieci, każdemu z kolei kazał wypowiedzieć zadaną lekcyę. Był to wędrowny nauczyciel. W Skandynawii, gdzie pomieszkania rozrzucone są po niezmierzonych przestrzeniach gdzie niektóre parafie są większe od byłych udzielnych księztw i królestw niemieckich, nauczyciel sam przybywa do uczni, udaje się z gardu do gardu, kariolką, statkiem lub sankami; gdyby uczniowie chcieli do niego chodzić, musieliby chyba obuwać się w owe bajeczne buty, co to za jednem stąpnięciem robiły po siedm mil drogi.

Odde kryje się w głębi Hardangerfiord, jest to norwegski Interlaken. W pobliżu turysta podziwia lodnik Buerbroe, wspanialszy niż Grindelwald, zwiedza kataraktę Skeggedalfoss, obok której Staubach i Giesbach są tylko małemi kaskadkami, a ze szczytu Folgefondu i Hardanger-Jokulen, widzi sześćdziesiąt mil ciągnące się góry, lodniki i wiekuiste śniegi. W Odde zabawiliśmy dni kilka, aby ztamtąd zwiedzać okolice. Wycieczki nasze rozpoczynaliśmy bardzo rano. Zewsząd dochodził nas wiekuisty monotonny szmer lodnika; niekiedy dawał się słyszeć nagły wybuch i widzieliśmy kamienie, odłamy skał, gwałtownie z rozpadlin wyrzucane w powietrze. Przewodnicy z obawą zbliżają się do Buerbroe; utrzymują oni że lodnik żyje właściwem so bie życiem, że posiada tajemniczą, szkodliwą potęgę. Powiadali nam iż od lat dziecinnych patrzą na to jak zwolna lodnik czętuje ze szczytów Folgefondu, wydrąża sobie łożysko w pośród skał, i powoli posuwa się nieustannie; że w ostatnich trzech latach postąpił trzydzieści metrów i zagraża pochłonięciem doliny. Na brzegach tej doliny rozwija się szczególna, świetna ale zarazem trująca roślinność tojad wznosi swe blade kiście, krzaki belladony czerwienieją zdala od swych szkarłatnych jagód; na pamiątkę naszych tu odwiedzin, zebraliśmy trujący bukiet.

Z głębi Hardangerfiord miała być urządzona prosta droga prowadząca z Christianii do Bergen — ale niestety! zamiar ten nie został wykonany. Łatwiej i prędzej daleko można się dostać z Christianii do Trondjem a może nawet i do Bodoe, pod biegunem północnym, niż z tej stolicy Norwegii do najznaczniejszego w kraju całym miasta handlowego. Trzeba wiedzieć że Bergen i Christiania uczuwają do siebie zawziętą nienawiść; starożytna córa Hanzy nie może darować Christianii niedawnego jej wyniesienia. Uważa ona urzędową metropolię za dorobkowicza, zazdroszczącego Bergenowi jego handlowego rozwoju. To też stosunki wzajemne są zimne, odwiedziny nader rzadkie. Z powodu braku drogi wozowej, opuszczając Odde, musieliśmy poprzestać na poneyach norwegskich, tych rumakach równie bezpiecznych i spokojnych jak muły szwajcarskie; tak więc po raz drugi przebyliśmy Alpy skandynawskie.

Roślinność zaczęła się pokazywać; przejeżdżaliśmy przez tak zwany na szczycie Alp skandynawskich las: jodły dosięgały wysokości grzbietów naszych koni, a niektóre stuletnie drzewa zawadzały o nasze kolana. Na drodze spotkaliśmy kariolkę, jakby oczekującą na podróżnych; przewodnik nasz zaprzągł do niej jednego z naszych wierzchowców, inne przywiązywał z tyłu i tak wjechaliśmy do prowincyi Thelemarken.

Thelemarken jest to zakątek Norwegii zupełnie prawie nieznany turystom. Anglicy zwiedzają przylądek Północy, wyspy Lofoden, ale nie zajrzeli jeszcze do Thelemarken, może właśnie dla tego że leży bliżej ich kraju niż Norrand lub Laponia. To też w tem mieście otoczonem ze wszech stron wysokiemi górami, przedstawiającemi ciekawą próbkę tego czem była Norwegia przed jakiemi dwustu laty, przechowały się starodawne obyczaje, charaktery, zwyczaje i ubiory.

Przekraczamy próg gaardu; za krzesła służą pnie drzewa, wyższa ich część grubo obciosana tworzy poręcz. Na stole utworzonym z grubszego pnia, porozstawiane są półmiski, talerze, czarki z drzewa jesionowego, rzeźbione grubo i pomalowane. Ozdobę ścian i sprzętów stanowią godła, sentencye moralne i ustępy z Biblii, w języku skandynawskim a niekiedy łacińskim. Na misce do nalewania mleka, stoi wypisane dokoła. „Pij i dziękuj Bogu". Na środku drewnianego półmiska, wypisano słowa psalmisty: „Jedz z przyjacielem a daj jeść nieprzyjacielowi". Po nad drzwiami „Domu którego Bóg nie strzeże nikt nie ustrzeże". Po nad łóżkami: „Człowiek sieje, Bóg zasiewom plenność daje".

Ale, niestety! w całym gaardzie było tylko to jedno łóżko, na którem sypiali rodzice i z półtuzina dzieci; powiedziano nam że w Hankelied znajdziemy nie tak pierwotny nocleg, więc pomimo spóźnionej pory udaliśmy się w dalszą drogę, pod przewodnictwem nie więcej jak pięcio-letniego chłopaczyny. Dzieciak przepasany był skórzanym pasem, u którego wisiał sztylet.

Wszyscy mieszkańcy Thelemarkenu noszą broń taką i posługują się nią nadzwyczaj zręcznie i wprawnie. Nie ma przecież kraju w którymby drogi publiczne były bezpieczniejsze jak w tej części Norwegii; zasadzki i kradzieże nader rzadko się zdarzają ale za to bójki i zwady powtarzają się nieustannie. Jakże to często gaardy Thelemarkenu bywają widownią krwawych tragedyi, zwanych przez Norwegczyków: „pojedynki na noże". Po formalnem wyzwaniu, przeciwnicy i świadkowie zostają zamknięci w sali. Przed rozpoczęciem walki, jeden z zapaśników, całą siłą wbija sztylet swój w stół lub w ścianę, poczem ostrze zostaje owinięte rzemieniami aż do miejsca do którego wbiło się w drzewo, a tak żaden z walczących nie może głębiej wbić sztyletu w ciało przeciwnika — oto jedyna zasada i reguła walki. Zapaśnicy są z sobą związani za pasy i walka się rozpoczyna i trwa dotąd aż jeden z nich okryty ranami i wycieńczony utratą krwi, nie mogąc ani się cofnąć ani odłączyć od swego zwycięzcy, pada umierający w objęcia mordercy.

Po długim zmroku noc nastała nareszcie; po raz to pierwszy od sześciu tygodni ciemność nas otacza; było to w końcu lipca, dnie są już krótsze i każdy obrót koła zbliża nas do południa. Witamy gwiazdy jakby dawne znajome długo niewidziane; niezadługo księżyc wszedł na bezchmurnem niebie i roztoczył swe łagodne światło, żywsze jednak niż pół-dzień północnego zmroku. Po raz to pierwszy ukazała nam się Norwegia przy świetle księżyca; promienie jego rzucają na jeziora atłasowe odblaski, jodły fantastyczne przybierają kształty i dziwaczne rysują cienie na mchowych kobiercach. Oddalone wzgórza kąpią się w niebieskawem świetle, cała przyroda przysłania się tajemniczą poetyczną szatą; przypomniały mi się słowa jednego z pisarzy który najlepiej poznał i opisał te strony: „W porównaniu z dniem noce północy są tem czem perła w porównaniu z dyamentem, mniej mają blasku ale więcej powabu".

Słońce zaczęło wschodzić gdyśmy nareszcie dojechali do Hankelid; pokazało się że ów nocleg tak upragniony była to nędzna chata w której także znajdowało się jedno tylko łóżko dla rodziny. Szczęściem tuż obok stała stodoła i tu na sianie i lucernie przespaliśmy kilka godzin.

Nazajutrz wieczorem kariolka nasza zatrzymała się przed drzwiami wiejskiego zameczku; na przyjęcie nasze wyszła sama pani, otoczona gromadką dzieci i służbą. Miała na sobie pantaliony czarne jedwabne, sięgające za kostki i przyciśnięte rzeźbionemi drewnianemi sandałami; pantaliony te były ozdobione bogatym haftem. Spódniczka, podobna do fustanelli greckiej, nie sięgała do kolan; stanik otwarty z przodu, ozdobiony klejnotami. Pas różnobarwny kilka razy otaczał jej kibić. Na głowie miała coś w rodzaju kapturka spadającego na ramiona z takiej samej materyi i z takimże haftem jak na pantalionach. Na jej skinienie, zaprowadzono nas już nie do pokoju ale do domku dla podróżnych; był to rodzaj szaletu wyłącznie na ten cel przeznaczonego. Tu zawsze oczekują na podróżnych wygodne łóżka, fotele, bogatsze w rzeźby niż w wysłanie, a ustępy z biblii gotyckim charakterem wypisane na ścianach, nastręczają im budujących lub pocieszających zasad. Służba posługuje chętnie, dostarcza co może nie czekając żądania, a to trzymając się zasady wypisanej na drzwiach: „*Nie nudź i nie trudź pytaniami gościa którego w dom przyjmujesz, bo nie potrzebuje on próżnych lub natrętnych słów, ale spoczynku i czystej odzieży*".

Młody chłopiec dany nam nazajutrz za przewodnika, miał na sobie szerokie pantaliony i krótką kurtkę z białego sukna, naszywaną zieloną pasmanteryą; wskoczył zgrabnie na deskę, trzasnął z bicza przystrojonego grelotkami i koń puścił się galopem. Zrobiwszy swoje, chłopiec zaczął śpiewać. W to mi graj! pomyślałem, poznamy ludową norwegską muzykę, lecz zaledwie uchwyciwszy pierwsze tony, spojrzeliśmy na siebie z niewymownem zadziwieniem. Chłopiec spokojnie śpiewał dalej; nie ma wątpliwości, to *Marsylianka!* W ustach norwegskiego pacholęcia, nuta pieśni z 1792 r. przybrała jakiś odcień smętny, poważny, zakrawający nieco na kantyczkę.

Jakim cudem, jakim tajemniczym zbiegiem okoliczności, francuzka pieśń rewolucyjna dostała się do jednego z najpierwotniejszych kantonów pierwotnej Norwegii? Była to zagadka którą dopiero w Chrystyanii nam rozwiązano.

Sześć lat temu, w ostry grudniowy poranek, kilku śmiałych chłopaków nie zważając na śnieg i lody zalegające pola, wyszli z ferm Thelemarkenu i dostrzegli na niebie szczególniejszy fenomen: była to wielka czarna plama, zdająca się poruszać i unosić z wiatrem. Zjawisko to zaniepokoiło wszystkich: zawiadomieni przez dzieci, starsi wybiegli przed domy i zaczęli się naradzać i wnioskować o naturze meteoru. Plama tymczasem coraz się zwiększała. Wkrótce mogli rozeznać jakby jakiś okrągławy potwór, otoczony linami, który wyraźnie spuszczał się ku ziemi, niekiedy dotykał jej prawie i znowu gwałtownie podnosił w górę, unosząc za sobą łódkę w której siedziało dwóch mężczyzn, na wpół-umarłych z zimna i głodu. Nareszcie potwór opadł bezsilny; dzielni Norwegczycy przybiegają, podnoszą przybyszów i ogrzawszy ich i nakarmiwszy, zajęli się wyszukiwaniem tłomacza. Wtedy dowiedzieli się że powietrzni podróżni puścili się balonem z oblężonego miasta, aby światu i Francyi udzielić wiadomości o Paryżu. W przeciągu dwudziestu-sześciu godzin, wiatr poniósł ich z brzegów Sekwany na pola Lijfield w Norwegii. Odwaga aeronautów i żywe współczucie jakie ludy skandynawskie żywią dla Francyi, wprawiły w zapał spokojnych mieszkańców, a tak podróż dwóch Francuzów do Chrystya-

nii, była prawdziwym pochodem tryumfalnym. Śpiewali oni hymn patryotyczny powtarzany wówczas przez wszystkie usta, i oto jakim sposobem młode chłopaki z Thelemarken śpiewają *Marsyliankę*.

Dostawszy się na szczyt góry Mehejen, zobaczyliśmy rozpościerające się u jej stóp miasto Kongsberg, którego kopalnie srebra dostarczają Norwegii całej jej marek, specyi i skillingów. Cywilizacya przedstawia się naszym oczom pod postacią dworca kolei żelaznej, położonego w pośród domów, warsztatów i fabryk, zjakich składa się to przemysłowe miasto. Żegnaj nam kariolko! dzięki której podziwialiśmy tyle przepysznych krajobrazów, doznali tyle niespodzianek które tyle uroku dodają podróżom, żegnaj nam może na zawsze, przechodzimy teraz pod despotyczną władzę pary.

X.

Z Konsberg do Chrystyanii. — Storthing. — Konwencya chłopska. — Partykularyzm norwegski. — Dwa miesiące przymusowego pobytu w pałacu. — Ouli. — Eiland. — Frederikshal i Karol XII. — Jeszcze kariolka. — Trolhatta. — Gothemburg.

Od dwóch godzin pędzimy pociągiem umyślnym z Konsberg do Chrystyanii, w pośród bujnych łąk i okolic na których już cywilizacya odbiła swe piętno, w postaci fabryk i warsztatów i miast przemysłowych jak Drammen i Hougsund. Z posępno-poważnej Norwegii dostajemy się do wesołej i uśmiechniętej. Piękny fiord Christyania nie opuszcza nas, jakby zamierzał podróżować z nami. Już to minąwszy tunel patrzymy z wysokości 400 stóp na błękitną wód jego powierzchnię, malowniczo przerzynającą grunta i użyźniającą doliny: już posuwamy się nad jego wybrzeżami, otoczonemi ukwieconą murawą, willami i ogrodami angielskiemi. Na lewo jednak wznoszą się jeszcze na horyzoncie wysokie szczyty, wychylając z po za zielonych wzgórz swe marszczone czoła, jak gdyby przypomniały nam że przed kilku zaledwie dniami, przebywaliśmy strefy mórz lodowych i wiekuistych śniegów.

Przybywającemu z pod koła północnego, Christyania wydaje się jakby oaza w pustyni, w której spodziewa się spotkać z wszelkimi wymysłami nowoczesnej cywilizacyi. Ludne przedmieścia, dworzec kolei, omnibusy a nawet tramwaye, jakaż to miła niespodzianka! Wszedłszy na bulwary urządzone podług najświeższej mody, oświetlone latarniami w kształcie kandelabrów, widząc liczne powozy przesuwające się po ulicach, możnaby sądzić że Christyania jest jedną z najwięcej ożywionych na świecie stolic. Lecz kto zna Paryż, Londyn, a choćby tylko Hamburg, Amsterdam, Bruxellę, temu metropola norwegska wyda się zimną i smutną. Jest to stolica zaledwie powstała, w której wyciągnięto proste ulice, urządzono wielkie place, wspaniałe skwery, ale wszystko to, stosunkowo do ludności, ma za wielkie rozmiary; wygląda też jak dzieci którym przezorni rodzice kazali porobić za długie i za szerokie sukienki, aby były dobre jak urosną. I Christyania też dobrze będzie wyglądać jak się rozrośnie odpowiednio do swych szat.

W każdej stolicy znajduje się jakiś gmach który tak położeniem jak rozmiarami zwraca zaraz na siebie uwagę podróżnika; jeśli rząd jest monarchiczny, jest rezydencya panującego; jeśli republikański, gmach posiedzenia Zgromadzeń. W Christyanii jest to pałac w którym obraduje Storthing, ta konwencya chłopów, kierujących losami kraju. W Norwegii zachowuje się etykieta dworska, ale w rzeczywistości rząd jest republikański.

Wchodzimy do przybytku prawodawczego, i otwierają się przed nami drzwi sali w której trzystu władzców Norwegii odbywa swe posiedzenia, ale, niestety! sala pusta a prawodawcy powrócili do swych gaardów w wąwozach Duwru lub pustyń Norlandu. Nic posępniejszego jak sala posiedzeń parlamentu, gdy nie rozlega się w niej wrzawa rozpraw i odgłos oklasków. To jakby plac boju po bitwie, w której ministrowie odgrywają często rolę poległych. W sali norwegskiego Storthingu nie ma nic coby sprzyjało turniejom mówców, nie ma piedestału dla trybunów, to jest trybuny dla mówców. Reprezentanci norwegscy nie zbierają się dla słuchania świetnych mów na wiecznie powtarzające się temata, ale dla swobodnego naradzania się nad sprawami kraju; oni nie rozprawiają ale rozmawiają. Tak jak w Westminster, mówca zwraca się nie do Zgromadzenia ale do prezydującego. Nie ma tu ściśle z góry oznaczonych stronnictw, nie ma lewej ani prawej, tych nieprzejednanych współzawodniczek, które i ciało prawodawcze i naród dzielą na dwa obozy. W Storthingu, objawiają się w każdej kwestyi najsprzeczniejsze zdania, bronione gwałtownie, często nawet namiętnie: ale gdy tylko większość głosów wyda swój wyrok, zwyciężeni i zwycięzcy poddają mu się kornie i nie szerzą w kraju niesnasek, powstałych w łonie Zgromadzenia.

Naród norwegski jest jednym z najmłodszych w Europie; byt jego niepodległy datuje dopiero od 1811 roku, a jednak konstytucya jego, jest najstarszą z dziś istniejących w Europie, z wyjątkiem angielskiej. Liczy obecnie 60 lat istnienia.

(d. c. n)

Król marzeń.

Pusto, głucho, tylko mary
W rozbujałej szumią głowie,
Tylko w kącie zegar stary
Taktem puka w mej alkowie.

Noc i cisza, lecz w tej chwili
Mgła rozwiewa się przede mną,
Jak zasłona się uchyli —
Widzę *ją* — i *ona* ze mną,

Niezbadana, niepojęta,
Poetyckich krain dziecię,
A czy święta, czy przeklęta,
Jednak moja na tym świecie.

Gdy wieczorny zmrok zapada,
Gdy nadchodzi północ głucha,
Czarodziejka moja blada
Ciągle szepce mi do ucha.

I ja pieszczę postać cudną,
Choć jej dłoń się nie dotyka —
I w komnacie mojej ludno:
Bal, wesele i muzyka.

Sylfy, gnomy, duchy blade
W harmonijnej krążą sferze, —
Spieszą do mnie na biesiadę
Dawni króle i rycerze.

I ucztuję w gronie licznem
Ja — król marzeń, mocarz cieni —
W mojem państwie fantastycznem,
Co bez czasu i przestrzeni.

Autor Pamiątek z Litwy.

Odczyty publiczne.

Z ostatnim dźwiękiem dogorywającego karnawału rozpoczęły się w sali Ratuszowej odczyty publiczne, na korzyść Osad Rolnych i War. Tow. Dobroczynności. Od lat zaledwo trzech w życie wprowadzone, zyskały one w Warszawie chętne bardzo przyjęcie, coraz liczniej na nie się zbierają, bilety naprzód zamawiać potrzeba, obszerna sala nie może pomieścić chciwych wiedzy słuchaczy. Rzecz to bardzo naturalna, ze wszystkich bowiem dróg jakiemi światło nauki pomiędzy ludzi się rozchodzi, słowo żywe, wymownie i z gruntowną znajomością przedmiotu z katedry wypowiedziane, najlepszą jest zawsze i najskuteczniejszą, przez nią wiedza wciska się niejako w umysły słuchaczy, do serc i przekonań ich trafia. Wpływ publicznych prelekcyi jest niezaprzeczony, pożytek ich widoczny. Rzucone z katedry myśli i zdania, kiełkują, wzrastają, rozbudzają żywszą chęć do nauki, do bliższego zapoznania się z przedmiotem, o którym prelegent w ciągu godziny mógł zaledwo ogólne dać pojęcie, lub maluczką część dokładniej przedstawić. Dla każdego zapatrującego się poważniej na rozwój naszego społeczeństwo, ten dobroczynny wpływ wykładów publicznych bardzo jest wyraźnym, szczególnie pomiędzy paniami naszemi.

Pereat mundus, fiat justicia. Niech ginie świat, a niech staje się sprawiedliwość, mawiali dawni Rzymianie; otóż i my uczyńmy sprawiedliwość i wyznajmy, że na wszystkich odczytach daleko więcej kobiet aniżeli mężczyzn widzimy i one też najwięcej z wykładów tych korzystają. A nie czynią tego bynajmniej dla mody jakiejś, lecz z wewnętrznego przekonania o potrzebie wzbogacenia umysłu, z najszlachetniejszego pragnienia zdobycia większego zasobu wiedzy.

Szereg odczytów rozpoczął Prof. Dr. Łuczkiewicz prelekcyą: „*O sposobach przedłużenia młodości*“. Sala była przepełnioną. Taż sama sprawiedliwość zmusza nas do powiedzenia, iż nie jedne z pań spieszyły tam w nadziei iż usłyszą o jakichś nowych odkryciach, o eliksirach mających utrzymać wdzięki młodości aż w najdłuższe czasy, większość jednak wiedziała iż tylko krótkiego wykładu popularnej Hygieny słuchać będzie; a jednak panie zebrały się tłumnie.

Wymownie i z wielką jasnością, oraz wprawą do mówienia z katedry Dr. Łuczkiewicz objaśnił najprzód czem jest młodość: najwyższym rozwojem sił i władz tak ciała jakoteż i umysłu, którego jak najdłuższe utrzymanie, poniekąd a nawet w znacznej części, zależne jest od woli samego człowieka, przez harmonijne wszystkich tych władz funkcyonowanie, co tylko da się osiągnąć i utrzymać przez umiarkowane ich użycie, i usuwanie od wpływów szkodliwych. Potrzeba jednak przedewszystkiem ażeby człowiek do tego był uzdolniony, to jest ażeby był *dobrze urodzony*, nie w artystokratycznem ale w fizyologicznem znaczeniu, czyli aby na świat nie przynosił z sobą zarodów chorobliwych, tak cielesnych jak i umysłowych. Szanowny prelegent dowiódł że tylko z rodziców zdrowych, a głównie z małżeństw skojarzonych pod wpływem serdecznego uczucia i wiekiem dobranych, zdrowe dzieci rodzić się mogą. Zwrócił uwagę matek na dobrowolne zrywanie naturalnego i najdroższego węzła pomiędzy dzieckiem a matką, przez usuwanie go od pokarmu jaki dla niego natura sama przygotowała, i wykazał rachunkami statystycznemi, iż dzieci przez obce mamki karmionych umiera większa połowa. Mówił następnie o początkowem wychowa-

niu dziecka, tak fizycznem jak i moralnem, o szkodliwości zbyt wczesnej umysłowej pracy, nie będącej w harmonii z rozwojem sił fizycznych, jak to czyni wiele nierozsądnych matek popisujących się z przedwczesną inteligencyą dziecka. Nie mamy dość miejsca abyśmy mogli podać szczegółowy rozbiór całej tej bardzo zajmującej i nauczającej prelekcyi, z której nie jedni rodzice istotny pożytek wynieść mogli; wspomnimy tylko że przedstawiwszy w krótkich ale bardzo jasnych słowach ustrój ludzkiego organizmu, prelegent wskazał i szkodliwe nań wpływy, a między innemi i działanie kosmetyków tak często przez panie używanych, które zawsze zawierają w sobie, pomimo poręczenia fakrykantów i szumnych ogłoszeń, cząstki mineralne bardzo szkodliwe na skórę a nawet na cały organizm działające, a które zawsze zbyt niezgrabnie destrukcyjne działanie czasu ukrywają. Natomiast polecił jako najpraktyczniejszy środek utrzymania czerstwości i świeżości cery, używanie wody zimnej, wody deszczowej z migdałowemi lub ryżowemi otrębami, albo z rozbitem w niej żółtkiem jajka. Piękność fizyczna jest nierozdzielna z doskonałością kształtów, jędrnością i świeżością cery, czego żadne kosmetyki nadać nie są w stanie, a co jedynie woda zimna utrzymać może. Najpiękniejsze rysy przy chorobliwej cerze i nieharmonijnych kształtach, piękności nie stanowią wcale. Głównym zaś sposobem najdłuższego zachowania młodości, tego droższego nad wszelkie inne skarbu, jest zachowanie przepisów hygieny, użycie umiarkowane wszystkich władz człowiekowi danych, i niepoddawanie się zbyt gwałtownem, namiętnem wzruszeniom.

Wykład swój systematyczny, treściwy i jasny, umiał szanowny prelegent tak przytem ożywić i wesołym nawet uczynić, iż wszyscy nie tylko z wielkiem zajęciem ale i prawdziwą słuchali przyjemnością.

Drugi z kolei odczyt miał profesor Struwe. „O Mikołaju Reju, jako filozofie i moraliście“. Wiek XVI był u nas wiekiem najwyższego rozwoju, najwyższej potęgi; najznakomitsi mężowie, najdzielniejsze umysły występowały na widownię dziejów naszych, a Rej niepoślednie między niemi trzyma miejsce. Prelegent uważa go jako ojca filozofii narodowej, filozofa życia i czynu nie zaś szkoły, ktory wszystko z życia i doświadczenie czerpie i z każdego, by najdrobniejszego przedmiotu, praktyczną naukę wyprowadzić umie. W tym to wieku XVI myśl ludzka poczynała się wyzwalać, wyłamywać z dawnych zbyt ciasnych form scholastycznych; Kartezyusz we Francyi, Bakon w Anglii, Boehm w Niemczech, u nas zaś Rej z Nagłowic, według zdania prelegenta, za twórców narodowych filozofii powinni być uważani, noszących cechy odpowiednie nietylko charakterowi i usposobieniu tych narodów, ale w części i osobistości samychże swych założycieli. W wymownych słowach uczonego prelegenta, w licznych cytacyach stosownie wybranych, ożyła niejako sympatyczna postać pana Reja z Nagłowic, szlachcica poety, moralisty i filozofa, którego dzieła, a szczególnie *Zwierciadło, czyli Żywot człowieka poczciwego*, tak w ręku magnatów jak i w każdym szlacheckim dworku się znajdowały.

Rej dał się poznać najprzód z pism treści religijnej, z psalmów, później zwrócił na siebie uwagę dworu i szlachty przez swoje pisma polemiczne. Wtedy dopiero po raz pierwszy, z wielkiem zadziwieniem spotkano się w książkach drukowanych, z owemi zdaniami, namiętnościami i przesądami, jakie przeważnie obiegały i poruszały masy obywateli Rzeczypospolitej. Dotąd uczucia religijne lub narodowe objawiały się tylko w pieśniach albo wyrażano je w łacińskich woluminach, odstraszających swym ogromem i które mało kto czytał. Rej zatem, jak na owe czasy, wiele nauki posiadający, przejęty duchem narodowych pieśni i obdarzony łatwością stylu polskiego, wnet się podobał uczonym, szlachcie, a nawet i ludowi; najwyborniej przedstawiał on swój kraj i swoją epokę, a szczególnie stan szlachecki do którego należał. W jego biografii, w nim jednym, widzimy najdokładniej żywot całej szlachty naszej z końca XV i początku XVI wieku.

„Kilka dzieł w rodzaju Reja dobrze przełożonych, powiada Mickiewicz w jednej ze swych prelekcyi, dałyby cudzoziemcom dokładniejsze wyobrażenie o historyi polskiej, aniżeli to jakie powziąść mogą od dziejopisarzy“.

„Rej bowiem rozwija nam przed oczyma cały obraz życia w Polsce. Co pozostało w niej słowiańskiego, to daje się widzieć w zakresie rodziny, w obyczajach, w nałogach, w cnotach domowych, pomiędzy któremi celuje słowiańska gościnność; co właściwie jest polskie, to występuje na jaw w sprawach publicznych, w stosunkach obywatela z krajem; co nakoniec można nazwać powszechnem obywatelskiem, tego wizerunek mamy w wyobrażeniach religijnych i socyalnych. Polacy bowiem w owych czasach daleko już wygórowali nad Słowian Dunajskich, gdy tamci wyśpiewują tylko swoje uczucia, i malują obrazki swego życia; ci myślą i rozprawiają, każdy pragnie nawet pojęcia własne stosować do polityki i spraw potocznych“.

Trzeci odczyt noszący tytuł „Kobieta-lekarz“, mocno zaciekawił słuchaczy a tem bardziej słuchaczki. Sądzono że Dr. Benni, specyalista, który niedawno zwiedzał Amerykę i kwestyą kobiet oddających się nauce medycyny, studyował tam gdzie ona już dość rozległą ma praktykę, potępi to zajęcie i znajdzie je dla kobiet niewłaściwem. Omylono się wszakże, gdyż wcale nie takie były konkluzye prelegenta. Systematycznie jednak postępując i my na końcu dopiero o nich powiemy.

Uprawianie nauki medycyny przez kobiety nie jest bynajmniej rzeczą nową, Hipokrates wspomina już o jednej lekarce która tej nauce z zamiłowaniem za jego czasów się oddawała. Wieki średnie dość liczne tego dają nam przykłady, jednak owe kobiety zajmowały się więcej przyrządzaniem i wymyślaniem kosmetyków, eliksirów miłosnych i innych zabobonnych praktyk, a często nawet i przygotowaniem trucizn, aniżeli rzeczywistą nauką przynoszącą pożytek ludzkości. Wszakże i między niemi zdarzały się zdolniejsze i wyższe inteligencye; jedna odznaczała się w dysputach z uczonymi XV wieku, inna znowu zajmowała katedrę profesorską w Florenckim uniwersytecie. Później nieco we Francyi, panie Lachapelle i Boivin, cenione dzieła o akuszeryi po sobie zostawiły.

W ostatnich czasach, kiedy kobiety zaczęły myśleć o zdobywaniu sobie samoistnego stanowiska w świecie, niektóre zapragnęły też próbować i medycyny, bynajmniej nie zrażając się wstrętną i mozolną nauką. Ale uniwersytety nie chciały przyjmować kobiet do grona swych słuchaczy. Pierwszy uniwersytet Zurichski po długim oporze rektora, otworzył jem nareszcie swoje aule i do grona studentów swych przyjął. Berneński nieco później toż samo uczynił. W Zurich liczba kobiet-studentów wzrosła szybko aż do 136, obecnie zaś znacznie się zmniejszyła, w Bernie nigdy wiele ich nie było. I w Edymburgu wytrwałością swoją zdobyły sobie prawo studenckie, wkrótce jednak ono zostanie jem odjęte, z czego wynikł ciekawy proces który oparł się aż o parlament i na niekorzyść kobiet osądzony został. Wyrobiły sobie jednak pozwolenie założenia własnej szkoły w Londynie. W Petersburgu zaś mają przy Akademii Medyko-Chirurgicznej specyalną szkołę pod nazwą: „Uczonych Akuszerek“ z kursem pięcioletnim; w niej wykładane są wszystkie przedmioty nauki lekarskiej z wyjątkiem Weterynaryi i Medycyny Sądowej.

Gdy w starej Europie debatowano i pisano w tej kwestyi foliały za i przeciw, młoda Ameryka czynnie w życie ją wprowadzała. Obecnie jest tam dziewięć szkół lekarskich mieszanych, do których kobiety na równi z mężczyznami są przyjmowane, a pięć wyłącznie dla kobiet przeznaczonych, przez nie same prowadzonych i w których większa część katedr specyalnych, jak np. anatomii, filozofii, chemii, przez kobiety są zajęte. Kursa w żadnej z nich nie są dłuższe nad lat trzy. Studentki do nich uczęszczające, rzadko widział prelegent młode, a jeszcze rzadziej piękne, wszystkie zaś na prelekcyach zachowujące się poważnie i słuchające z wyraźną chęcią korzystania, gdy w szkołach mieszanych przeciwnie, widział je podczas wykładów chichoczące ze studentami. W ogóle wykłady, z małemi bardzo wyjątkami, prelegent znalazł słabemi, pomocy naukowych, bibliotek, gabinetów brak zupełny, w salach anatomicznych i w szpitalach do tych szkół należących, pusto, a egzamina zanadto łatwe. Jedną tylko szkołę taką w Chichago znalazł staranniej prowadzoną i tam po raz pierwszy, widział sześć kobiet gorliwie w teatrze anatomicznym nad trupem pracujących. Przy tak łatwych egzaminach a tak krótkich kursach, nic dziwnego iż w Ameryce w prędkim czasie pojawiło się mnóstwo kobiet-lekarzy. W samej Filadelfii jest praktykujących sto kilkadziesiąt, nie szczególnie jednak jem się powodzi, gdyż publiczność niewiele ma do nich zaufania. Ale z pomiędzy nich wyróżniło się kilka zdolnościami i nauką znakomitszych, czy to jako profesorki, czy jako praktykujące lekarki, jedna nawet bardzo zręcznym jest chirurgiem. Z tych prelegent poznał osobiście panią Blakswell, panny Zakrzewską i Thompson. Nie mogąc się wdawać w szczegóły tego odczytu, zrobiemy tylko wzmiankę o jego konkluzyi. Dr. Benni znajduje że byłoby czystą niesprawiedliwością usuwać kobiety od wyższych nauk uniwersyteckich na jakichbądź wydziałach, że w zawodzie lekarskim kobiety wielkie usługi ludzkości oddać mogą, zwłaszcza jeśli się ograniczą do chorób kobiecych i dziecinnych. Ale że nauka medycyny wymaga z ich strony zbyt wiele poświęceń, gdyż zmusza koniecznie do wyrzeczenia się *kobiécości*, największego jej wdzięku, i że do niej, a wraz z nią i do życia samodzielnego, przez odpowiednie wychowanie od dzieciństwa przygotowywać by się powinny.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Synteza dwóch światów, szkic filozoficzny. Napisał H. Struve. Warszawa 1876.

Przede wszystkiem sam tytuł książki potrzebuje wyjaśnienia. *Antyteza* jest to przeciwieństwo, sprzeczność, *synteza* zaś, przeciwnie, oznacza zgodność, zestawienie, porównanie. Przez *dwa światy* rozumie autor ducha i materyą, a więc dwa kierunki filozoficzne — idealny i realny czyli materyalistyczny, od wieków sprzeczne i będące przedmiotem nieustannych sporów i walki. Kierunek idealny wymaga równouprawnienia wszystkich stron działalności ludzkiej: uwzględnia nietylko wiedzę, wysnutą *z myśli*, ale także religią i sztuki piękna, płonące *z uczucia* i zasady moralne, będące normą *chęci* i oprócz doświadczeń zmysłowych, uznaje także doświadcze-

nie wewnętrzne ducha nad samym sobą. Krańcowy realizm, przeciwnie, uznaje tylko myśl i wiedzę, trzyma się jednostronnego kierunku, lekceważy uczucia, odrzuca religią i poezyą, a nawet odrzuca istnienie samego ducha, uznając za prawdziwe to tylko, co pod zmysły podpada, a resztę nazywając chorobliwemi mrzonkami i wymysłem. W ostatnich czasach krańcowy realizm czyli materyalizm przyjął jeszcze miano pozytywizmu. W dziejach myśli ludzkiej od lat przeszło 2000 nie brakło na próbach kompromisu, ażeby pogodzić dwa te sprzeczne kierunki; nie brakło także i objawów krańcowego idealizmu, równie jednostronnego, jak krańcowy materyalizm. Systemata krańcowego idealizmu, odrzucają zupełnie świadectwo zmysłów, jako złudne i fałszywe, nie uznają zgoła bytu materyalnego, lecz tylko byt ducha, z którego, niby marzenie lub fantasmagorya, wypływa cały świat zjawisk zewnętrznych. Próby kompromisu, trzymając się zdala od obustronnej krańcowości, nie wpadając ani w gruby i wyłączny materyalizm, ani w subtelny i wyłączny idealizm, noszą ogólną nazwę dualizmu albo monizmu w rozmaitych odcieniach. Dualizm uznaje spółrzędne i rzeczywiste istnienie dwóch światów — ducha i materyi; monizm od kilku wieków przypuszcza, że w gruncie rzeczy, pomiędzy duchem i materyą nie masz różnicy, że w rzeczywistości musi to być jedno, ale nie w tem rozumieniu, ak to przypuszcza materyalizm, utrzymujący że to, co nazywamy duchem, jest w rzeczywistości materya, lecz w tem znaczeniu, że jedno i drugie płyną ze wspólnego źródła, że jest jeden początek obu szeregów zjawisk — tak duchowych, jak i materyalnych. Jak dualistyczne, tak i monistyczne systemata nie mają jeszcze cech pewności: dualizm nie umie objaśnić stosunku ducha do materyi i wzajemnego ich na siebie oddziaływania, które zawsze pozostaje niepojętą zagadką; monizm zaś, pomimo niektórych wyników umiejętności przyrodniczych, które tu i owdzie upatrują jedność, gdzie dawniej tylko rozmaitość upatrywano, pozostaje zawsze jeszcze przypuszczeniem i musi cieszyć się nadzieją, że kiedyś w dalekiej przyszłości, hypoteza powszechnej jedności zostanie dowiedzioną prawdą.

Niniejsze dziełko pana S. roztrząsa niektóre zasadnicze punkta owej walki „dwóch światów“ i dwóch kierunków i roztacza widoki ich pogodzenia czyli syntezy w kierunku monistycznym. Z dotkniętych przez autora punktów zaznaczymy w krótkości ważniejsze. Tak na początku autor zajmuje się pytaniem, co to jest materya i wykazuje, że dziś już nie mamy prawa uważać materyi za coś zupełnie biernego, pozbawionego myśli i czucia. Dalej językiem i w duchu filozofii platońskiej dowodzi, że cały świat jest objawem ducha bożego, jest „jedną myślą bożą.“ Przedstawia następnie dosadny i żywy obraz rozstroju, w którym obecnie świat się znajduje, gdy podkopano to wszystko, co ludzkość czciła i za wielkie uznawała, gdy tyle zburzono a nic nie zbudowano. Winę tego rozstroju widzi autor w buncie umysłu ludzkiego — w buntowniczych nadużyciach samowiedzy. Człowiek wymyślił na własne udręczenie, przeciwieństwa, które w rzeczywistości, w naturze samych rzeczy, nie istnieją. Słusznie dowodzi dalej autor, że niepodobna zwątpić o ideałach i rozumnych celach ludzkości, pomimo smutnego widoku walk, sporów i nadużyć. Za krótki jeszcze przeciąg czasu badamy ludzkość, a nadto bierzemy ją oddzielnie, w oderwaniu od harmonii wszechświata. Zresztą sam pesymizm, samo zwątpienie, podobno jak zapał dla swojej, jakiejbądź teoryi, jest oznaką istnienia i panowania wyższych ideałów. Piękne są następujące słowa autora: „nieszczęśliwi, obłąkani, zapomnieli że samo ich potępienie świata, sama ich rozpacz z powodu rozstroju ludzkości jest bezpośrednim objawem wyższego sądu, wyższego rozumu, działającego w ich duchu. Nie traćcie wiary w wasze własne serce, w wasz własny rozum, a wnet przekonacie się, że sąd potępienia, który wygłaszacie, jest sądem bożym w waszym własnym duchu, że nie można prawa pociągać do odpowiedzialności istnienia powszechnego za zboczenia ludzkie, kiedy samo to istnienie was obdarzyło zdolnością poznania tych zboczeń, a tem samem i zdolnością usunięcia takowych.“

Trafnie i zwięźle dowodzi dalej autor, że jeszcze teraz, w sławionym wieku XIX, ludzkość daleką jest od dojrzałości: znajduje nawet, na przekór pysze naszych czasów, że zostajemy jeszcze w wieku chłopięcym. Następnie wymownie i przekonywająco ujmuje się autor za prawami uczucia — religii i sztuki, a głównie poezyi — w ogólnym rozwoju i udoskonaleniu ludzkości. Autor przepowiada w końcu blizką syntezę — zgodę przeciwieństw, której zapowiedzią są najnowsze zdobycze nauk filozoficznych i przyrodniczych a objawami - duch zjednoczeń, kongresa, asocyacye, dążność do wspólności wierzeń i wiele innych faktów we wszystkich sferach społecznej działalności. Przy końcu znajdują się dwa dodatki przedrukowane z „Kłosów.“ W pierwszym autor powtarza i rozwija myśli o znaczeniu religii i sztuki obok filozofii — myśli, przeważnie już powyżej wypowiedziane. W drugim dodatku „Teraźniejszość, przeszłość i przyszłość“, pod wykwintną i kwiecistą szatą formy stylowej, niewiele znajdujemy godnych uwagi myśli.

Taką jest, w krótkości, treść zajmującej pracy pana S. Pominęliśmy wiele ustępów przeważnie poetycznych—kwiecistych parabol i alegoryi jak np. o bliźniaczem pochodzeniu i odmiennych losach wiedzy i uczucia. Co się tyczy ducha i kierunku rzuconych myśli, z których zaznaczyliśmy ważniejsze, można chyba zarzucić autorowi zbyteczny optymizm i wiarę w blizki już wiek złoty jedności i zgody. Dążności monistycznych trudno brać za złe autorowi; w pojedynczych twierdzeniach czasem widać trochę sprzeczności i logicznej niedokładności, co się tłomaczy gorącym zapałem i żywem uniesieniem, z jakim autor traktuje swój przedmiot; drobiazgowej krytyki niektórych pojęć, z uwagi na zadanie i przeznaczenie niniejszego pisma, na tem miejscu nie możemy roztaczać. W ogólności tylko możemy polecić wszystkim książkę pana S., która stanowi ważny i pocieszający nabytek dla naszego piśmiennictwa, niezbyt często bogacącego się dziełami tak poważnej i pożytecznej treści. Prawdopodobnie ażeby uniknąć suchości i uczynić swoje dzieło ponętniejszem, autor użył kwiecistej formy i poetycznego stylu, naśladując, jak sam mówi, dyalogi staregoPlatona. Włada on dobrze językiem i umie wydobyć na zawołanie tęczowe blaski i bogactwo barw i harmonii, naszej mowie właściwe. Gdzieniegdzie ta kwiecistość przechodzi w przesadę i nieco zaciemnia traktowane kwestye, zwłaszcza we wzniosłych alegoryach, do których zrozumienia potrzebne jest ciągłe utrzymanie umysłu w pewnym stanie natężenia. Zresztą takich miejsc niewiele. Dla dokładnego zrozumienia książki pana S. i wyciągnięcia z niej pożytku, potrzebny jest pewny stopień wykształcenia; z powodu jednak ponętnej formy i niewielkiej zawiłości treści, mniemamy że nawet wykształcone kobiety mogą i powinny przeczytać tę pouczającą pracę. *W.*

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Klotyldzie S. w Nowosiołku. Na boki ornata wybraliśmy morę, jako piękniejszą od adamaszku: przybory wszystkie wraz z przykrojeniem klejówką i tekturką wyniosły rs. 23. Warkoczy roślinnych tak blond popielatych jak przysłana próbka nigdzie znaleźć nie można było. Pozostało po załatwieniu sprawunków rs. 3 kop. 50.

Pani Tekli S. w Ochryzkowcach. Radzi jesteśmy niezmiernie iż umieliśmy dogodzić w załatwieniu sprawunków. Rs. 17 odebraliśmy, potrąciliśmy z nich nietylko rs. 16 kop. 13 dołożone do wyprawki dziecinnej, lecz i kop. 37 brakujące do przesyłki pokojowego paletocika. Jeszcze pozostaje w depozycie naszym k. 50.

Pani Ludwice M. w Krzemieńcu. Pieniądze za los odebraliśmy — wolelibyśmy jednak byli potrącić je z wygranej. Albumy do wpisywania poezyi, są albo bardzo drogie, albo zupełnie tanie; oddzielnie pojedynczego tomu dzieła żądanego dostać nie można. Nuty kosztują rs. 1. Pozostało nam jeszcze rs. 2 k. 9.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 24 Февраля (8 Марта) 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1877 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 9. i 10.

N. I. Suknia princesse z wielkim trenem. Ryc. 10—11 w N. 10 Tygodnika.

Miara połowy górnej objętości stanika 52, w pasie 34 centymetry.

Fig. 1. Przodek (A, F, G, I)
Fig. 2. Boczek (A, B, C, H)
Fig. 3. Pierwsza część pleców (B, C, D, E, G, 1-no załamanie formy)
Fig. 4. Druga część pleców (D, E, F)
Fig. 5. Tylny bryt spódnicy dodany pod tren (*a* część górna, *b* część dolna *, :
Fig. 6. Połowa trenu, *a* bryt tylny, *b* bryt boczny.
Fig. 7. Rękaw (I, K, L, M)
Fig. 1-a—7-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części sukni.

N. II. Tren do spódnicy pod suknię ryc. 10—11 w N. 10.

Fig. 8. Połowa trenu spódnicy, *a* bryt tylny, *b* bryt boczny.

N. III. Vêtement z upięciem szarfowem do sukni ryc. 19—20 w N. 9.

Miara połowy gornej objętości stanu 48, w pasie 36 centymetrów.

Fig. 9. Przód i boczek przedni (N, O, P, S, T, V,*, 1-no załamanie formy.
Fig. 10. Boczek do pleców i plecy (P, Q, R, S, T, U, . 1 X 1—. 2 X 2)
Fig. 11. Kołnierz (U, V)
Fig. 9-a—11-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części vêtement.

N. IV. Paletocik luźno wcinany. Ryc. 4 w N. 10 Tygodnika.

Fig. 12. Przód i boczek (a, b, c, d, e, f, g, m, 2 załamania formy)
Fig. 13. Plecy (c, d, e, f, l, 1-no załamanie formy)
Fig. 14. Rękaw (g, h, i, k)
Fig. 15. Kołnierz (l, m)
Fig. 12-a—15-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części paltocika.

N. V. Żakieta dla niedorosłych chłopców. Ryc. 8 w N. 9.

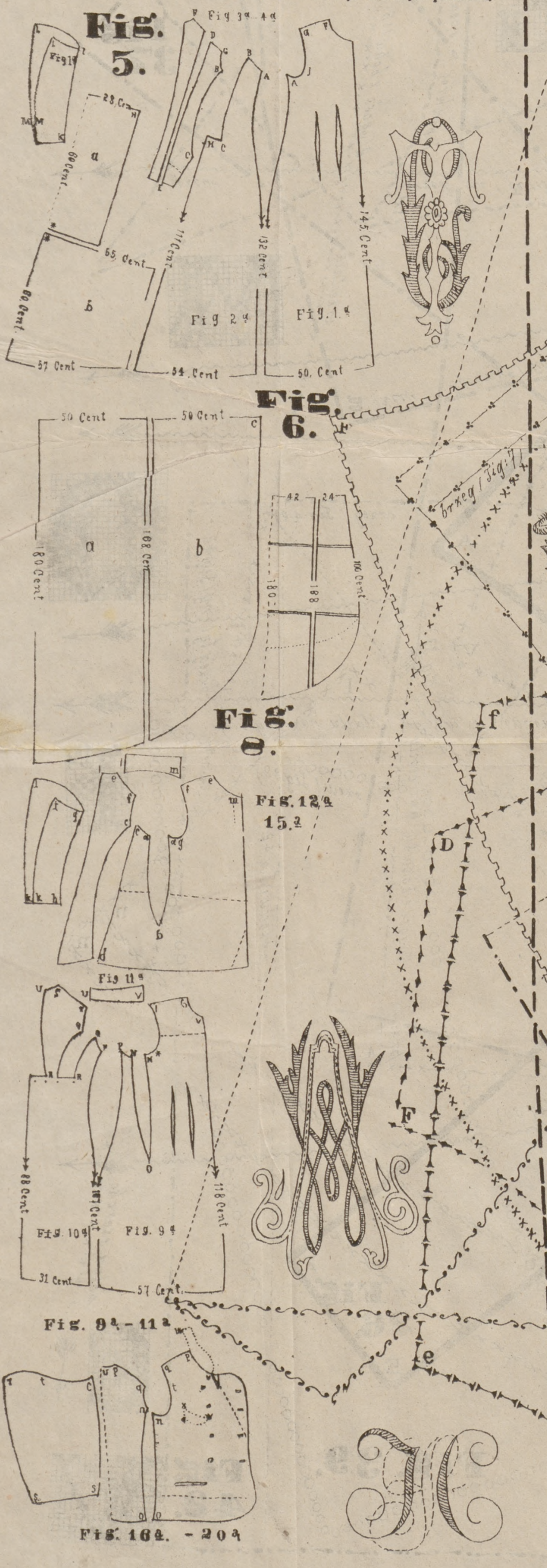
Fig. 16. Przodek (n, o, p, q, t, v, w, x, 1-no załamanie formy)
Fig. 17. Połowa pleców (n, o, p, q, u)
Fig. 18. Rękaw (r, s, t)
Fig. 19. Kołnierz (u, v)
Fig. 20. Klapka do kieszeni (w, x)
Fig. 16-a—20-a. Zmniejszony rysunek żakiety.

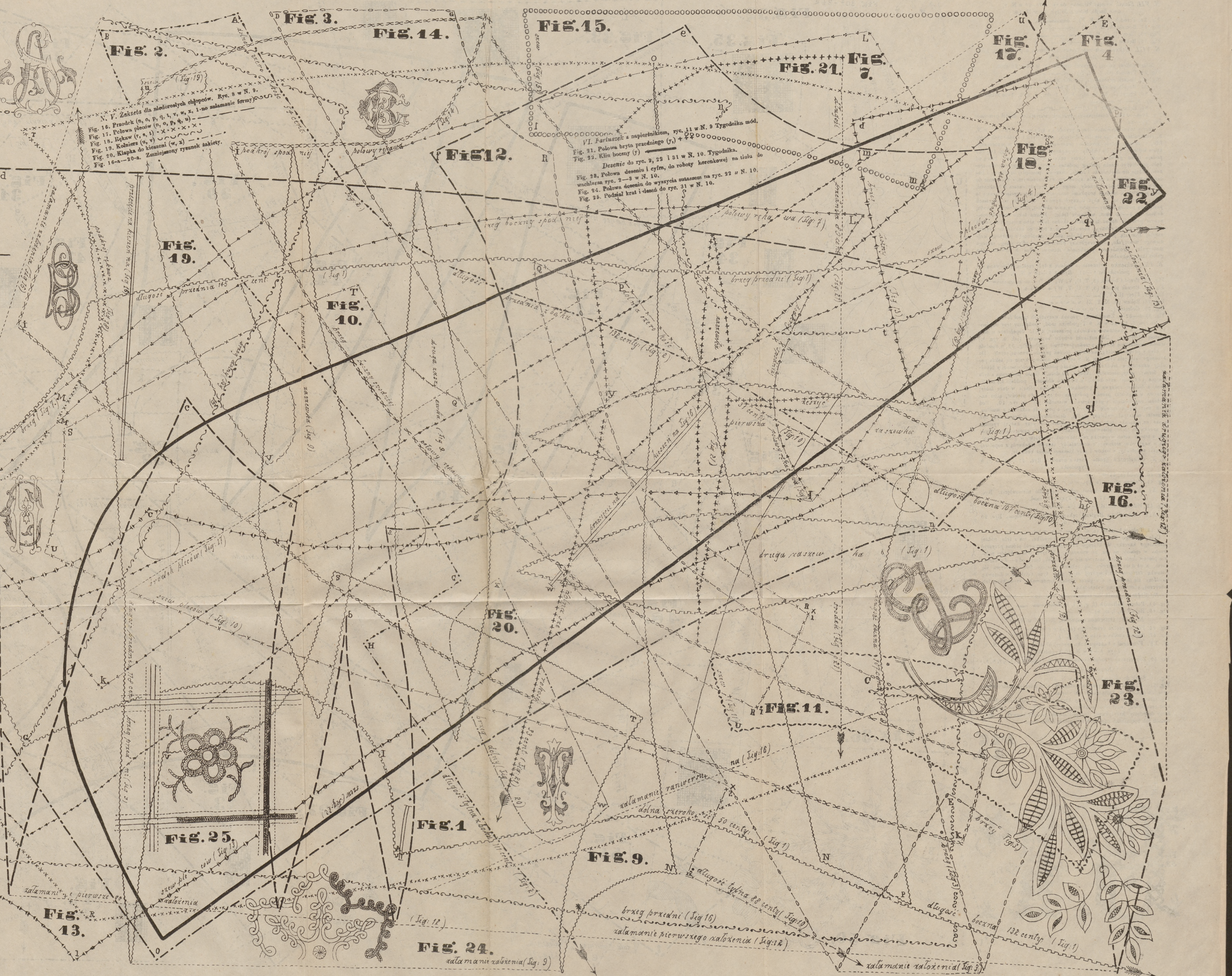
VI. Fartuszek z napierśnikiem, ryc. 11 w N. 9 Tygodnika mód.

Fig. 21. Połowa bryta przedniego (y,)
Fig. 22. Klin boczny (y)

Desenie do ryc. 2, 22 i 31 w N. 10. Tygodnika.

Fig. 23. Połowa deseniu i cyfra, do roboty koronkowej na tiulu do wachlarza ryc. 2—3 w N. 10.
Fig. 24. Połowa deseniu do wyszycia sutaszem na ryc. 22 w N. 10.
Fig. 25. Podział krat i deseń do ryc. 31 w N. 10.





N. VII. ***Stanik*** wycięty kirasowy do ry 27—28 w N. 9, niem linijką bawetu do ryc. 18 w N. 10.

Fig. 26. Przodek (A, B, E, F)
Fig. 27. Boczek (A, B, C, D)
Fig. 28. Plecy (C, D, E, F)
Fig. 29. Rękaw (F, : , *)

N. VIII. ***Suknia*** princesse zebrana z przodu w poprzeczne fałdy. Ryc. 24—25 w N. 9.

Miara połowy górnej objętości stanika 43, w pasie 28 cent.

Fig. 30. Przodek (G, L, M, N)
Fig. 31. Boczek przedni (G, G) × • × • × •
Fig. 32. Boczek od pleców (H, I, K) — o — o —
Fig. 33. Plecy (I, K, L, M, . 1 X 1 do . 6 X 6, 1-no załamanie formy. × — × — ×—
Fig. 34. Rękaw (N, O, P, Q)
Fig. 30-a—34-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części princesse Fig. 30—34.

Forma sukni przedstawionej z przodu i z tyłu na ryc. 25—25 w N. 9, szczególnie nadaje się dla młodych, szczupłych i kształtnych osób. Długie szwy przednie zręcznie przerwane są fałdami poprzecznemi, które najlepiej dają się układać ze skośnego materyału. Fig. 30—33 podaje tylko górną część formy sukni z krótkim trenem, którą od dołu przedłużyć trzeba podług podanej miary; z tyłu zbywająca szerokość fałduje się drobniutko i ściśle, wszywa pomiędzy środkowy i boczne szwy spódnicy i układa sposobem wachlarzowym. Stosownie do szerokości materyału, przody mogą być krajane razem z boczkami, albo przecięte w miejscu kropkami oznaczonem; nieprzecinane mają te zaletę iż wolne są od zbyt licznych szwów. Zaszewki na piersiach pasuje się podług figury — przy krajaniu skośnej, dolnej części przodu, dolicza się 8—10 cent. na każdą fałdę. Można także na nieprzecinanym przodzie dodać tylko same skośne fałdy albo zastąpić je szarfą *Almée* z krepy jedwabnej, koronki, lub z tego co suknia materyału, oszytej frendzlą jedwabną. Model sukni odrobionej z pięknego wełnianego materyału, był przybrany plisowaniem i plisą z tego samego materyału; strojniejsze przybranie stanowi plisa haftowana albo galon tkany jedwabny.

N. IX. ***Sukienka*** princesse z dodaną z tyłu częścią plisowaną dla panienki lat 8—11. Ryc. 3 9—10 w N. 9.

Fig. 35. Przód i boczek (S, T, U, V, W, + *) 1-no załamanie
Fig. 36. Boczek pleców (S, T, U, V, W) + • + • + •
Fig. 37. Plecy (U, V, :)
Fig. 28. Rękaw (R, X, Y, Z)
Gig, 39. Kołnierz (: , +) o o o o o o
Fig, 35-a—39-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części formy.

Na ryc, 3, 9—10 w N. 9 Tygodnika mód, podajemy trzy odmiennie przybrane i zapinane sukienki princesse, z tyłu dopełnione u dołu częścią plisowaną. Do sukienki z boku zapinanej (jak na ryc. 9.) trzeba zwierzchnią połowę przodu przykroić podług Fig. 35, a spodnią zwężyć z przodu podług znaczków środek przodu oznaczających. Do skośnego zapięcia ryc. 3 w N. 9 spodnią połowę kraje się także podług oznaczenia środka, a zwierzchnią podług wypróbowanej z bibułki formy, przypuszczając skośnie do dołu. Część plisowana z tyłu mająca 146 cent. szerokości, a 26—30 długości, poddaje się muślinem, z boków zeszywa z przodami, w górze plisuje w duże fałdy, wszywa w wąziutki pasek i podszywa od spodu do pleców, albo zakończa nagłówkiem i przyszywa z wierzchu jak na ryc. 10. Pod stan daje się podszewkę z szyrtyngu, a pod całą sukienkę z muślinu. Wszelki materyał wełniany gładki, deseniowy lub w kratę użyty być może na sukienkę lub przybranie, odmiennie przy każdej rycinie. W środku na części plisowanej, dodany jest prosty czworokątny kawałek, z trzech stron wypustką ze sznureczkiem objęty, w górze podwójnie w nagłówku złożony, w kontrafałdy zaszyty i kokardą z ropsowej wstążki ozdobiony; z boków i przy kieszeni takież kokardy.

N. X. ***Chusteczka*** prosto ścięta z przodu. Ryc. 21—23 w N. 9 Tygodnika.

Fig. 40. Przód (a, b)
Fig. 41. Połowa pleców (a, b)

N. XI. ***Koszulka*** z krótkiemi rękawkami, dla niemowlęcia. Ryc. 15—17 w N. 10 Tygodnika mód.

Fig. 42. Połowa koszulki

N. XII. ***Koszulka*** z długiemi rękawami, dla niemowlęcia. Ryc. 20 w N. 10.

Fig. 43. Połowa koszulki (c, d, e)

Cała z jednego kawałka przykrojona koszulka, ma z tyłu rodzaj szerokiego karczka, do którego zbywającą szerokość płótna przyszyć trzeba w sposób na ryc. 20 wskazany. W tym celu w każdej połowie pleców część dolną zaszywa się w 5 fałdek, łączy od *c—d* z karczkiem, a od *d* do *e* wszywa się rękaw; zeszycie fałd podszywa się listewką zarówno jak i wykrój szyi, przy tym ostatnim w listewkę nawłóczy się tasiemkę, a w górze dodaje koroneczkę szydełkową lub fabryczną, przewleczoną wstążeczką.

N. XIII. ***Kaftanik*** dla niemowlęcia. Ryc. 18—19 w N. 10.

Fig. 44. Połowa kaftanika (f, g, h, i, k)
Fig. 45. Rękaw (k, l, m, n)

N. XIV. ***Dziecinna*** czapeczka. Ryc. 21 w N. 10.

Fig. 96. Połowa czółka przedniego (o, p) + + + + + +
Fig. 47. Połowa czółka z tyłu (o, p, q, r)

N. XV. ***Vêtement*** z każdego boku inaczej układane. Ryc. 1 w N. 9, i ryc. 5—6 w N. 10 Tygodnika.

Fig. 49. Zmniejszony rysunek z oznaczek miary vêtement (s, t, u, v, w, x)

Rozmaite desenie i wzory.

Fig. 50. Szlak do pieluszki, ryc. 37 w N. 10.
Fig. 51—52. Szlak do wyszycia sutaszem albo ściegiem łańcuszkowym, na pantoflach, kaftanikach lub vêtement.
Fig. Dwie wielkie litery do roboty krzyżykami na bieliźnie stołowej albo ręcznikach, zdobnych szlakiem krzyżykowym. Różne mniejsze litery do roboty krzyżykami, (na podłożeniu cienkiej kanwy) na serwetach lub ręcznikach zdobnych wyszyciem kolorowem.

